

W 40 rocznicę Powstania Warszawskiego

# Brama śmierci

Ania bawi się bez troski w brodziku. Pilnują jej, siedząc nie opodal na ławce. Jesteśmy na Saskiej Kępie, przy Miedzeszyńskiej. W upalne dni przychodzi tu wielu warszawiaków. Można popływać w którymś z odkrytych basenów, poopalać się, zjeść obiad czy napić się kawy w barze „Nimfa”. Wokół zadbana zielen, niżej trawa plaży ustępuje miejsca piaskowi. To już brzeg Wisły. Po drugiej stronie rzeki rozciąga się panorama fragmentu lewo-brzeżnej Warszawy. Most Łazienkowski i Most Poniatowskiego, to jakby ramy w tym realistycznym obrazie stolicy. Teraz jest to jedna z najpiękniejszych dzielnic Warszawy. Ze znanymi osiedlami „Torwar” i „Ludna”, zielenią Centralnego Parku Kultury, bulwami Solca wzdłuż Wisły, nowoczesnym hotelem...

Kiedy dziś, w sierpniowe przedpołudnie, patrzę w tamtą stronę, nie mogę ani na chwilę przestać myśleć, że 40 lat temu rozpętało się tam piekło, a woda z Wisły miała kolor i smak krwi. I że dokładnie vis à vis miejsca, w którym jestem z Anią, 40 lat temu na Przyczółku Czerniakowskim zginął mój ojciec.

„(...) Powstańcy utrzymywali przyczółek w rejonie około 1 km na południe od wiaduktu mostu Poniatowskiego. Szerokość przyczółka wynosiła około 2 km (od wylotu ulicy Ludnej do

portu czerniakowskiego), a głębokość około 2 km (do ulicy Rozbrat). W pierwszej dekadzie września ośrodek powstańców na Powiślu Czerniakowskim (Czerniakowie) składał się z różnych oddziałów i pododdziałów AK i AL – ogółem z czterech batalionów liczących około 1100 żołnierzy. Były to: zgrupowanie „Kryśka” (bataliony „Tur” i „Tur”) oraz oddziały zgrupowania „Radosław”, które w pierwszych dniach września (po upadku Starego Miasta) przedostały się do Śródmieścia, a następnie zostały skierowane na Czerniaków”. (JÓZEF MARGULES: Przyczółki warszawskie).

Wolam Anię. Pora jechać po Marcina na Łazienkowską. Mój jedenastoletni syn jest zapalonym piłkarzem i fanatycznym kibicem „Legii”. Dziś miał oglądać trening piłkarzy na stadionie. Teraz czeka już na nas przed głównym wejściem przy Łazienkowskiej. Opowiada z ożywieniem, kto trenował ze znanych piłkarzy, ilu kibiców siedziało na trybunach. Dla Marcina ulica Łazienkowska, to przede wszystkim stadion, korty i baseny „Legii”, sąsiednie lodowisko „Torwar”. 40 lat temu do rówieśników Marcina – kilkunastoletnich powstańców, na Łazienkowskiej Niemcy strzelali z cekaemów.

„Z trybun stadionu „Legii” grzali do nas Niemcy. Strzelali do wszystkiego, co poruszało się po drugiej stronie Łazienkowskiej. My też próbowaliśmy się do nich dostać, ale trudno było ich wymacać, kryli się za obmurowaniami i ławkami. Musieliśmy oszczędzać naboje. Postanowiliśmy obejść ich od tej strony, gdzie dziś są baseny. Ale jak

przeskoczyć ulicę? Pierwszy wyrwał się kilkunastoletni chłopak, którego imienia czy pseudonimu nawet dziś nie pamiętam. Dobięgl do środka ulicy i dostał w kolano. Upadł na jezdnię i jęczał. Trzeba go było stamtąd zabrać. Zaryzykował Zygmun – pani ojciec. Podczołgał się do rannego, wziął go na plecy i wciąż czolgając się, wrócił. Do dziś nie mogę uwierzyć, że Niemcom nie udało się ich trafić. Urządzili przecież istną kanonadę do ruchomego celu. Kule jednak szły obok, odbijały się od jezdni... Odwaga Zygmunta nie na wiele się zdała... Chłopak zmarł kilka dni potem w powstańczym szpitalu. Gangrena. Matkę tego chłopca znam z widzenia, mieszka na Czerniakowie niedaleko mnie. Ale nie chce nawet na mnie patrzeć. Powiedziała, że to przez nas straciła syna” (Relacja TADEUSZA JANUSZEWSKIEGO, pseud. „DODEK”, z batalionu „Bazar” zgrup. AK „Kryśka”).

Ruszyliśmy spod stadionu w kierunku ulicy Rozbrat. Po przeciwnej stronie „Legii”, tuż obok wiaduktu Trasy Łazienkowskiej, zza drewnianego parkanu widać kaplicę z krzyżkami. To resztki dawnego kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej. Kościół zburzono w 44 r. Teraz wprawdzie trwają tu prace remontowo-adaptacyjne, ale funkcję czerniakowskiej parafii przejął już nowoczesny kościół pod tym samym wezwaniem, wybudowany u zbiegu ulic Czerniakowskiej i Górnośląskiej. Znajdą go nie tylko mieszkańcy Powiśla i innych dzielnic Warszawy, ale także wielu cudzoziemców, a to z dwóch powodów. Po pierwsze – budowla, zaprojektowana przez prof. Stanisława Marzyńskiego, jest bardzo ciekawa architektonicznie, choć niektórym jej sylwetka kojarzy się z namiotem. Po drugie – kościół bezpośrednio sąsiaduje z orbisowskim hotelem „Solec”, w którym zatrzymują się zagraniczni goście.

Podczas Powstania kościół przy Łazienkowskiej był drugim obok kościoła Św. Trójcy na Solcu, kościołem powstańców na Czerniakowie. Tę tradycję kontynuują i nowi z Czerniakowskiej. W 40 rocznicę powstania na zewnątrz kościoła pojawiła się tablica pamiątkowa ku czci żołnierzy zgrupowań AK „Kryśka” i „Radosław”. Projektował ją Lech Orłow.

„Działo się w Warszawie, w kancelarii parafii Matki Boskiej Częstochowskiej dnia dwudziestego czwartego kwietnia roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego o godzinie dziesiątej stawił się: Romana Krzycka, przy mężu i Marja Krzak, przy mężu, pełnoletnie, zamieszkałe w Warszawie, i oświadczyły, że przy ul. Rozbrat pod numerem dwunastym dnia trzynastego września roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego zmarł Zygmunt Stettner, lat trzydzieści dwa mający, żonaty, monter, urodzony we Lwowie, syn Piotra i Wiktorji z Zielińskich. Pozostawił po sobie żonę Marję z Kunickich. Po przekonaniu się o śmierci Zygmunta Stettnera akt ten, obecnym przeczytany, przez nas i przez nich podpisany został. (Księga Aktów Zgonów w 1945 r., poz. 134).”

Ania robi się coraz bardziej senna. Trzeba wracać. Dlatego w biegu rzucam okiem na Zagórnię. Hotel „Solec” stanął tu w 1973 r. Ma więc tyle lat, co mój Marcin, który tu zresztą często przychodzi. Czyha mianowicie przed „Solcem” na różnych słynnych sportowców. Potulaje na ich autografy.

Hotel „Solec” styka się niemal z bu-

dynkiem, który aktualnie znajduje się w kapitalnym remoncie. To jedyny, zabytkowy budynek tej ulicy. Pochodzi z epoki secesji. Ale dla Zagórnej, epoką, która oddcisnęła największe piętno na losie ulicy i jej mieszkańców, był okres Powstania. 40 lat temu w secesyjnym budynku dawnej szkoły mieścił się powstańczy szpital.

„Zadaniem tej placówki było udzielanie doraźnej pomocy i odstawianie ciężkich przypadków do najbliższych szpitali, a zwłaszcza do centralnego, jakim był szpital ZUS przy Czerniakowskiej i Książęcej. Niestety, stało się inaczej. Ostrzał niemiecki uniemożliwiał najczęściej przenoszenie tam rannych, tak że garstka personelu obsługującego szpital (...) skazana była na własne siły i musiała dokonywać poważnych operacji. (...) Taśma krwawiących ciał przewija się przez stół operacyjny urządzony w pomieszczeniu natrysków szkolnych i nie zatrzymuje się ani na chwilę w dzień i w nocy. Rannych przybiera. Lekarze i sanitariuszki nie schodzą ze swych posterunków”. (RYSZARD CZUGAJEW-SKI: „Na barykadach, w kanałach i gruzach Czerniakowa”).

Ania zasnęła. To i dobrze, bo właściwie tylko Marcin dorósł do tego, by pokazać mu ten dom przy ul. Rozbrat. Kiedy byłam w jego wieku, przyprowadziła mnie tu matka.

Długi, czteropiętrowy budynek o numerach 10/14 to jeden z kilku spółdzielczych bloków Banku Gospodarstwa Krajowego. Wybudowano je w latach trzydziestych. W tym własnie budynku, konkretnie nad szeroką bramą, która dzieli blok na połowę, zginął mój ojciec. Marcin pyta, kiedy dokładnie to się stało, czy rzeczywiście 13 września?

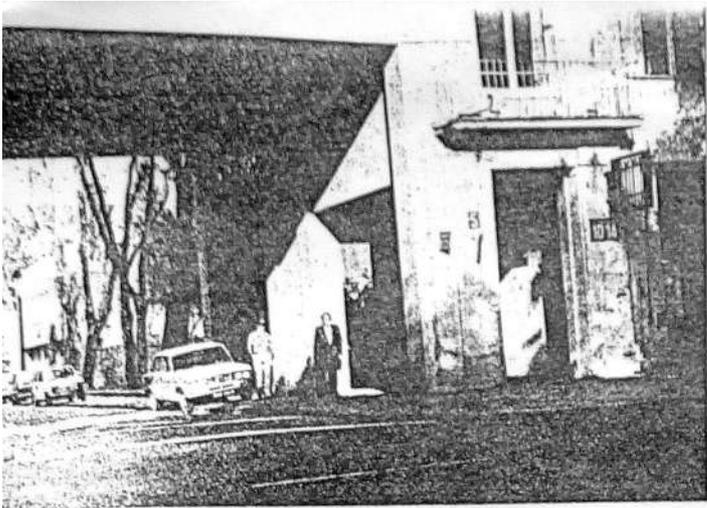
40 lat temu i cywilna ludność Czerniakowa, i powstańcy zapomnieli, że istnieje kalendarz.

„Zygmunt” (pseud. „Góral”), ja, Francuz „Gwiazdka” i jeszcze jeden Francuz, którego pseudonimu teraz nie pamiętam, siedzieliśmy na parterze bloku BGK przy ul. Rozbrat. Brama, przez którą teraz biegnie ulica Jezierskiego, była zabarykadowana deskami. Licha to była barykada, ale skuteczna, co chroniła przed ostrzałem Niemców. Siedzieli oni w budynku szkoły „Batorego” i w handlowce. Strzelali z cekaemów i pewno się wściekali, że przeciw nam nie mogą użyć artylerii, bo mogliby roznieść swoich po drugiej stronie bloku.

W tym momencie mieliśmy chwilę oddechu. Zeszliśmy nawet na podwórze, chłopcy od „Radosława” opowiadali o swych przemyśleniach na Starówce... Nagle któryś z naszych krzyknął, że z naprzeciwka jedzie w naszą stronę czołg. Zygmunt zareagował błyskawicznie. Chwycił granaty i pobiegł na samą górę. Wraz z nim Francuz „Gwiazdka”. Znad bramy można było najłatwiej trafić czołg granatami. Ale to nie był zwykły czołg, lecz goliat nafaszerowany materiałem wybuchowym.

To wszystko trwało sekundy. Usłyszeliśmy trzask lamanych desek barykady i w chwilę potem nastąpił straszliwy wybuch. Za moment byli tu już Niemcy. Wraz z kilkoma kolegami udało mi się wyczołgać do Czerniakowskiej. Przez tydzień ukrywałem się w piwnicy domu nr 162. Te piwnice... rodzili się tam dzieci, umierali ranni, często zamieniali się w zbiorowe mogiły pod gruzami zawałonych domów... Później usiłowałem przepłynąć Wisłę, ale w momencie, gdy za portem czerniakowskim dotarłem już do bie-





Brama przy Rozbrat

żące wody, aresztowali mnie Niemcy. Gdyby złapali mnie wcześniej, z pewnością zabiliby mnie jako powstańca, teraz nawet nie przyznałem się, że walczyłem na Czerniakowie. To mnie ocaliło... Co z Zygmuntem, nie wiedziałem. Balem się myśleć...

Niemcy z dywizji „Hermann Goering” zawlekli mnie aż do Fromborka. Tam wyzwolili mnie Rosjanie. Z końcem lutego 45 r. dotarłem wreszcie do domu. Po radosnym powitaniu matka powiedziała: Zygmunta nie żyje. Wisi pod dachem bloku BGK. Musisz go zdjąć.

Latwo powiedzieć „zdjąć”. Gdy poszedłem go zobaczyć, wzruszenie chwyciło mnie za gardło. Biedny „Góral”. Zaczepiony obcasem o strop wisił głową w dół. Dwie ręce i nogę miał jakby połączone... Rękawy czarnego kombinezonu ścisnęły wciąż w prze-gubach te same gumki, które mu dałem, gdyśmy wychodzili z mojego domu na Solcu... Wisił tam od 12 czy 13 września 44 roku, nie wiem dokładnie,

bo nie bawiliśmy się wtedy w sprawdzanie dat...

Z kolegami – braćmi-bliźniakami Krzemińskimi i Andrzejem Piechnikiem, obmyśleliśmy sposób zdjęcia ciała. Nie było to łatwe. Klatka schodowa nie istniała, po gruzach można było dojść na wysokość 1 piętra, a „Góral” wisił na czwartym. Udało mi się jednak jakoś wejść po pretach zbrojeniowych, miałem ze sobą również ciężki drąg. Tym drągiem podważyłem nadwęzłony strop, ciało spadło na drzwi, które w pogotowiu trzymali koledzy. Nie będę opowiadał, jak wyglądał Zygmunta, ale powiem Pani na pocieszenie, że na pewno pod tym stropem zawisł już niezły. Musiał zginać od samego wybuchu.

Kiedy schodziłem na dół, na wysokości pierwszego piętra, pod kaloryferem ujrzałem znajomą koszulę w kratkę. Leżał tam „Gwiazdka”.

DOKOŃCZENIE NA STR. 19

Okolice Płyty Czerniakowskiej są ulubionym miejscem spacerów warszawiaków



DOKOŃCZENIE ZE STR. 10-11

Prowizorycznym pogrzebem Zygmunta zajęła się moja matka. Pocho-waliśmy go na razie między drugim a trzecim blokiem BGK. Trzeba było teraz zawiadomić rodzinę. Żony Zygmunta nie było w Warszawie. Wkwielniu 45 r. odnalazłem na Grochowie siostrę Zygmunta, Marię Krzak... (Relacja TADEUSZA JANUSZEWSKIEGO).

„Ten widok śni mi się jeszcze i teraz po nocach. Mam wciąż w pamięci ten wstrząsający, tragiczny obraz: zwłoki wysokiego mężczyzny w czarnym kombinezonie, zawieszono go głową w dół pod dachem budynku BGK.

Niemcy zabrali moją matkę i mnie z Fabrycznej do obozu w Pruszkowie dokładnie 14 września 44 r. Wybuch gołiata na Rozbrat miał więc miejsce 12 albo 13 września, ale na pewno nie wcześniej i nie później. Pyta Pani, czy można było żyć z tym widokiem za oknem... Proszę Pani, kiedy po wyzwoleniu wróciłem do Warszawy, chodziłam dosłownie po stosach trupów. Sama pracowałam przy ekshumacji zwłok przy Szpitalu Dzieciątka Jezus. Śmierdziałam trupami... Nie, widok ciała Pani ojca nie przerażał. Natomiast przgnębiająca była beznadzieja, że nic nie można z tym zrobić... Tu trzeba było silnego mężczyzny, gotowego nawet ryzykować życiem. Zanim znalazł się wreszcie ktoś taki, zwłoki bohaterskiego powstańca przez wiele miesięcy wydane były na pastwę wiatru, śniegu, słońca... To było tragiczne”. (Relacja JADWIGI SZTEJTER, mieszkanki Czerniakowa).

„Kiedy już udało się Krzakowej zala-twić gdzieś trumnę, trzeba było postarać się o jakiś środek transportu, aby przewieźć ją z ulicy Rozbrat na Bródno. Najpierw myślałyśmy o wózku ręcznym, miałyśmy go ciągnąć na zmianę, bo jedna osoba musiałaby pilnować, aby trumna nie zsunęła się na ziemię. Ktoś rozsądny odradził nam ten pomysł: z Rozbrat na Wincentego jest szmat drogi, a wówczas wszędzie było jeszcze pełno gruzu, tłok na pononowym moście... Pomogła nam jednostka wojskowa, która stacjonowała przy ul. Podchorążych. Dali nam furkę z koniem i do pomocy dwóch żołnierzy. W wyznaczonym miejscu między blokami przy ul. Rozbrat wykopali ciału Pani ojca. Zwłoki przenosiła do trumny matka tego kolegi, który zdejmował ciało, Cecylia Januszewska. Krzakowa nie mogła. Żołnierze pomogli nam włożyć trumnę potem do grobu na Bródnie”. (Relacja ROMANY KRZYCKIEJ, przyjaciółki Marii Krzak, siostry Zygmunta Stettnera).

Ania spała pięć minut i już znów jest w formie. Mogę więc dzieciom pokazać miejsca związane z wydarzeniami sprzed 40 lat. Zatrzymujemy się przed pomnikiem przy ul. Czerniakowskiej, róg Prusa. – Co tu jest napisane? – pyta Ania. Tłumaczę jej, iż te litery mówią o tym, że trzeba pamiętać o jej dziadku Zygmuściu. Marcin wzrusza ramionami na te słowa, a że jest krótkowidzem, podchodzi do pomnika, gdzie czyta: „Pamięci żołnierzy Armii Krajowej Zgrupowania „Kryśka”, Armii Ludowej Rejonu Czerniaków, 1-ej Armii Wojska Polskiego poległych w powstaniu warszawskim na Czerniakowie oraz ludności cywilnej zamordowanej w tej dzielnicy w 1944 r. Cześć ich pamięci!”.

Z tego miejsca do Płyty Czerniakowskiej nad Wisłą prowadzi przez park przepiękna aleja. Jej perspektywę zamyka jeden z najładniejszych pomników Warszawy – Pomnik Sapera. Za nim, po drugiej stronie jezdnii, jest przystanek turystyczny przed Płytą Czerniakowską. Zatrzymuje się tu zwykle wiele autokarów z wycieczka-

mi, szczególnie zaś w sierpniu i we wrześniu, w rocznicę Powstania.

Ania patrzy na drugą stronę Wisły. Byłam tam Marcinku, byłam – wola radośnie, zadowolona, że poznała plażę na Saskiej Kępie.

40 lat temu z Saskiej Kępy w nocy z 15 na 16 września 1944 r. przeprowadziłam się na lewy brzeg Wisły – na Czerniaków – pododdziały 3 Dywizji Piechoty im. Romualda Traugotta.

„Pod osłoną ognia artylerii i samolotów 1 Pułku Lotnictwa Bombowego „Kraków” żołnierze 1 batalionu 9 pułku piechoty pod dowództwem porucznika Kononkowa przepłynęli na drugi brzeg – z Saskiej Kępy na Czerniaków, używając do tego celu kilku amfibii i pontonów, głównie zaś łodzi rybackich. Następnego nocy przeprowadził się batalion kapitana Olechowicza. O ile pierwsza przeprawa poszła dość łatwo, gdyż zaskoczyła nieprzyjaciela – to już następna próba przebycia Wisły, w nocy z 16 na 17 września, okupiona została poważnymi stratami. Na płynące przez rzekę łodzie i pontony hitlerowcy skierowali huraganowy ogień artyleryjski i broni maszynowej. Rzeka kipiała od wybuchów pocisków” („Przyczółki Warszawskie”).

Jesteśmy w domu. Wychodzi nam naprzeciw moja matka, zaniepokojona, gdzie też podziewaliśmy się tak długo. Boję się jakoś Jej powiedzieć, że byliśmy tam, dokąd jest załedwie dziesięć minut drogi, a zarazem – 40 lat. Matka ciężko choruje na serce, powinienam Jej oszczędzać wszelkich wzruszeń. Ale oto już Ania paple: – Babciu, byliśmy na Czerniakowie. – Więc zarzył w oczach mojej matki łzy, ale na twarzy widzę i zadowolenie, że i te skrabki pewno usłyszał już coś o dziadku, a moim Ojcu.

„Niestety, twój Ojciec nie wiedział, że będzie miał drugie dziecko. Kiedy z Łalą (moja sześciolatka wówczas siostra – przyp. B.S.) – opuszczałam Warszawę niemal w przeddzień Powstania i ja nie przypuszczałam, że jestem w ciąży. Cały okres Powstania przeżyłam w Nowym Sączu, u Cioci Jasi. Tam też miałam czekać na wiadomości od Zygmunta. Sama – przez różne okazy – stalałam listy do Warszawy. Do twojego Taty, do Cioci Krzakowej. Do mnie nie dochodziło nic. Kiedy już Warszawa była wolna, postanowiłam wracać do domu. Ale właśnie wtedy przyszedł ten list: „Zygmunta chce, żeby dziecko urodziło się w Nowym Sączu. Sam nie może pisać”. To pisała Ciocia Krzakowa. – A więc wiedz, że spodziewam się dziecka – myślałam. Tylko dlaczego Zygmuś nie może pisać? – Doszłam do wniosku, że pewno w Powstaniu stracił rękę. – Najważniejsze, że przeżył – pocieszałam się.

Kiedy miałaś sześć tygodni, nie chciałam już dłużej czekać. Postanowiłam wracać z Wami do Warszawy. Dotarłam do niej w maju. I tu – zaraz na wstępie – paraliżująca wiadomość: Wiesz Tata nie żyje, a pogrzeb odbył się 2 tygodnie temu. Nie chciałam w to wierzyć. Wszystko mi się plątało. Zginął w Powstaniu, teraz pogrzeb...? Dopiero potem, gdy już jakoś doszłam do siebie, po paru miesiącach, zrozumiłam, dlaczego Ciocia Krzakowa nie chciała, żebym wcześniej wracała... Bala się o nas obydwie: o mnie i o Ciebie, jeszcze nie narodzoną.

Chciałam Ci dać po ojcu na imię „Zygmunta”, ale ksiądz w kościele mi odradził. Ustąpiłam, ale nie całkiem. W metryce masz dwa imiona: Barbara Zygmunta. Jesteś pogrobowcem powstańca, żywą pamiętką po Ojcu. Wy obydwie i ten orzełek, wyjęty z grobu przy Rozbrat, to wszystko co mi po Nim zostało”. (Opowiadanie matki MARIi STETTNER, żony Zygmunta).

Tekst i zdjęcia: BARBARA STETTNER

## W rocznicę Powstania

## BRAMA ŚMIERCI

Wista tego lata rozlała się w Warszawie szeroko, znikły pod wodą plaże, drzewa i baseny na nie uregulowanym prawym brzegu. Podobnie jak wielu warszawiaków i ja wciąż jeszcze z niepokojem przyglądam się brunatnej, rwącej rzece. I równocześnie nie mogę pozbyć się natrętnej myśli, że kiedyś ta woda była jeszcze bardziej brunatna i podobno miała smak krwi. Tak opowiadał przyjaciel mojego ojca, Tadeusz Januszewski. Razem walczyli w Powstaniu na prawym brzegu Wisły, na Czerniakowie.

(...) Powstańcy utrzymywali przyczółek w rejonie około 1 km na południe od wiaduktu mostu Poniatońskiego. Szerokość przyczółka wynosiła około 2 km (od wylotu ulicy Ludnej do portu czerniakowskiego), a głębokość około 2 km (do ulicy Rozbrat).

W pierwszej dekadzie września osrodek powstańców na Powiślu Czerniakowskim (Czerniakowie) składał się z różnych oddziałów i pododdziałów AK i AL - ogółem z czterech batalionów liczących około 1100 żołnierzy. Były to: zgrupowanie „Kryśka” (bataliony „Bazar”, „Tum” i „Tur”) oraz oddziały zgrupowania „Radosław”, które w pierwszych dniach września (po upadku Starego Miasta) przedostały się do Śródmieścia, a następnie zostały skierowane na Czerniaków (Józef Margules: Przyczółki warszawskie).

Dla kilkunastoletnich chłopców z Warszawy, w większości fanatycznych kibiców „Legii”, dzisiejszy Czerniaków to przede wszystkim stadion piłkarski ich ukochanej drużyny, korty i baseny „Legii” oraz sąsiednie lodowisko Torwar. W 44 r. do ich rówieśników - powstańców z Czerniakowa - Niemcy strzelali z cekaemów:

Z trybun stadionu Legii grzali do nas Niemcy. Strzelali do wszystkiego, co poruszało się po drugiej stronie Łazienkowskiej. My też próbowaliśmy się do nich dostać, ale trudno było ich wymacać, kryli się za obmurowaniami i ławkami. Musieliśmy oszczędzać naboje. Postanowiliśmy obejść ich od tej strony, gdzie dziś są baseny. Ale jak przeskoczyć ulicę? Pierwszy wyrwał się kilkunastoletni chłopak, którego imienia czy pseudonimu nawet dziś nie pamiętam. Dobięł do środka ulicy i dostał w kolano. Upadł na jezdnię i jęczał. Trzeba go było stamtąd zabrać. Zaryzykował Zygmunt - pani ojciec. Podczołgał się do rannego, wziął go na plecy i wciąż czołgając się, wrócił. Do dziś nie mogę uwierzyć, że Niemcom nie udało się ich trafić. Urządzili przecież istną kanonadę do ruchomego celu. Kule jednak szły obok, odbijały się od jezdni... Odwaga Zygmunta nie na wiele się zdała... Chłopak zmarł kilka dni potem w powstańczym szpitalu. Gangrena. Matkę tego chłopca znam z widzenia, mieszka na Czerniakowie niedaleko mnie. Ale nie chce nawet na mnie patrzeć. Powiedziała, że to przez nas straciła syna. (Relacja Tadeusza Januszewskiego, pseudonim „Dodek” z batalionu „Bazar”, zgrupowania AK „Kryśka”)

Długi, czteropiętrowy budynek przy ulicy Rozbrat 10/14 to je-

den z kilku spółdzielczych bloków Banku Gospodarstwa Krajowego. Wybudowano je w latach trzydziestych. Kiedy miałam może z osiem lat, matka przyprowadziła mnie tu po raz pierwszy. Potem ja pokazałam ten dom swoim dzieciom. Czy i one opowiedzą historię związaną z tym domem swoim synom czy córkom? W tym właśnie budynku, konkretnie nad szeroką bramą, która dzieli blok na połowę, zginął mój ojciec.

Zygmunt (pseudonim „Góral”), ja, Francuz „Gwiazdka” i jeszcze jeden Francuz, którego pseudonimu teraz nie pamiętam, siedzieliśmy na parterze bloku BGK przy ul. Rozbrat. Brama, przez którą teraz biegnie ulica Jezierskiego, była zabarykadowana deskami. Licha to była barykada, ale skuteczna, bo chroniła przed ostrzałem Niemców. Siedzieli oni w budynku szkoły „Batorego” i w handlowce. Strzelali z cekaemów i pewno się wściekali, że przeciw nam nie mogą użyć artylerii, gdyż mogliby wtedy roznieść swoich po drugiej stronie bloku.

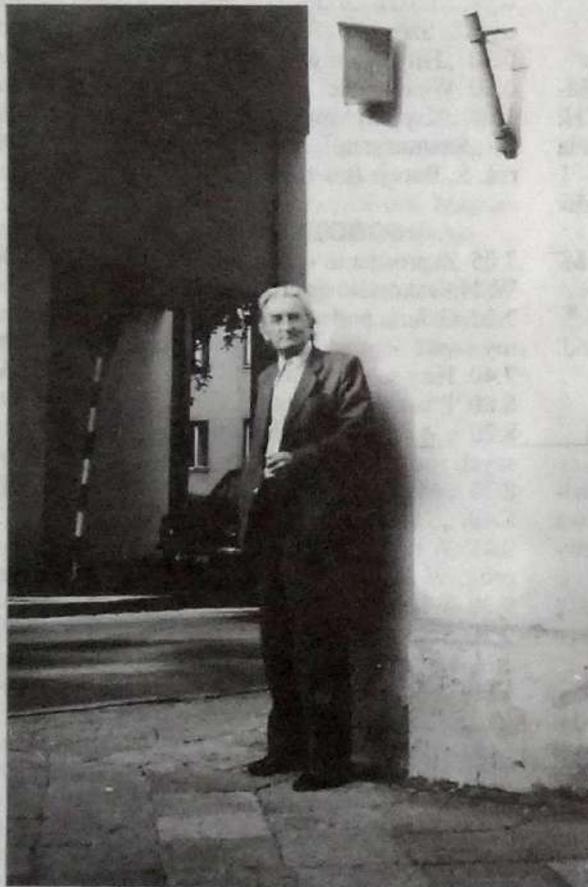
W tym momencie mieliśmy chwilę oddechu. Zeszliśmy nawet na podwórze. Chłopcy od Radosława opowiadali o swych przeżyciach na Starówce... Nagle któryś z naszych krzyknął, że z naprzeciwka jedzie w naszą stronę czołg. Zygmunt zareagował błyskawicznie. Chwycił granaty i pobiegł na samą górę. Wraz z nim Francuz „Gwiazdka”. Znad bramy można było najłatwiej trafić czołg granatem. Ale to nie był zwykły czołg, lecz goliat nafaszerowany materiałem wybuchowym.

To wszystko trwało sekundy. Usłyszeliśmy trzask łamanych desek barykady i w chwilę później nastąpił straszliwy wybuch. Za moment byli tu już Niemcy. Wraz z kilkoma kolegami udało mi się wyczołgać do Czerniakowskiej. Przez tydzień ukrywałem się w piwnicy domu nr 162. Te piwnice... rodziły się tam dzieci, umierali ranni, często zamieniały się w zbiorowe mogiły pod gruzami zawalonych domów... później usiłowałem przepłynąć Wisłę, ale w momencie, gdy za portem czerniakowskim dotarłem już do bieżącej wody arestowali mnie Niemcy. Gdyby złapali mnie wcześniej, z pewnością zabiliby mnie jako powstańca, teraz nawet nie przyznałem się, że walczyłem na Czerniakowie. To mnie ocaliło... Co stało się z Zygmuntem, nie wiedziałem... Bałem się myśleć...

Niemcy z dywizji „Hermann Goering” zawlekli mnie aż do Fromborka. Tam wyzwolili mnie Rosjanie. Z końcem lutego 1945 r. dotarłem wreszcie do domu. Po radosnym powitaniu moja matka powiedziała: Zygmunt nie żyje. Wisi pod dachem bloku BGK. Musisz go zdjąć.

Łatwo powiedzieć zdjąć. Gdy poszedłem go zobaczyć, wzruszenie chwyciło mnie za gardło. Zaczepiony obcasem o strop, wisił głową w dół. Dwie ręce i nogę miał jakby połączone... Rękawy czarnego kombinezonu ścisnęły wciąż te same gumki, które mu dałem, gdyśmy wyszli z mojego domu na Solcu... Wisił tam od 12 czy 13 września 44 r., nie wiem dokładnie, bo nie bawiliśmy się wtedy w sprawdzanie dat.

Z kolegami, braćmi-bliźniakami Krzemińskimi i Andrzejem Piechnikiem obmyśliliśmy sposób zdjęcia ciała. Nie było to łatwe. Klatka schodowa nie istniała, po gruzach można było



Tadeusz Januszewski przed bramą przy ul. Rozbrat 10/14

dojść zaledwie do pierwszego piętra, a „Góral” wisiał na czwartym. Udało mi się jednak jakoś wejść po prętach zbrojeniowych, miałem ze sobą również ciężki drąg. Tym drągiem podważyłem nadwyrężony strop, ciało spadło na drzwi, które w pogotowiu trzymali koledzy.

Nie będę pani opowiadał, jak wyglądał Zygmunt, ale powiem na pocieszenie, że na pewno pod tym stropem zawisł już nieżywy. Musiał zginąć od samego wybuchu.

Prowizorycznym pogrzebem Zygmunta zajęła się moja matka. Pochowaliśmy go na razie między drugim a trzecim blokiem BGK. Trzeba było zawiadomić rodzinę. Żony Zygmunta czyli pani matki, nie było w Warszawie, nawet nie wiedziałem, że niedługo będzie rodzić... Dopiero w kwietniu 45 r. odnalazłem na Grochowie siostrę Zygmunta, Marię Krzak (Relacja Tadeusza Januszewskiego).

Ten widok śni mi się jeszcze i teraz po nocach. Mam wciąż w pamięci ten wstrząsający, tragiczny obraz: zwłoki wysokiego mężczyzny w czarnym kombinezonie, zawieszono go głową w dół pod dachem budynku BGK.

Niemcy zabrali moją matkę i mnie z ulicy Fabrycznej do obozu w Pruszkowie dokładnie 14 września 1944 r. Wybuch goliata na Rozbrat miał więc miejsce 12 albo 13 września, ale na pewno nie wcześniej i nie później. Pyta pani, czy można było żyć z tym widokiem za oknem... Proszę pani, kiedy po wyzwoleniu wróciłam do Warszawy, chodziłam dosłownie po stosach trupów. Sama pracowałam przy ekshumacji zwłok przy Szpitalu Dzieciątka Jezus. Śmierdziałam trupami... Nie, widok ciała pani ojca nie przerażał. Natomiast przynębiająca była bezsilność, że z tym ciałem nie można nic zrobić. Tu trzeba było silnego mężczyzny, gotowego nawet ryzykować życiem. Zanim znalazł się wreszcie ktoś taki, zwłoki bohatera powstańca przez wiele miesięcy wydane były na pastwę wiatru, śniegu i słońca. (Relacja Jadwigi Szejter, mieszkanki Czerniakowa z ulicy Fabrycznej).

Działo się to w Warszawie, w kancelarii parafii Matki Boskiej Częstochowskiej dnia dwudziestego czwartego kwietnia roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego o godzinie dziesiątej stały się: Romana Krzycka, przy mężu, i Maria Krzak, przy mężu, pełnoletnie, zamieszkałe w Warszawie, i oświadczyły, że przy ul. Rozbrat pod numerem dwunastym dnia trzynastego września roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego zmarł Zygmunt Stettner, lat trzydzieści dwa mający, żonaty, urodzony we Lwowie, syn Piotra i Wiktorji z Zielińskich. Pozostawił po sobie żonę Marię z Kunickich. Po przekonaniu się o śmierci Zygmunta Stettnera akt ten, obecnym przeczytany, przez nas i przez nich podpisany został. (Księga Aktów Zgonów w 1945 r., poz. 134, pisownia oryginalna).

Kiedy już udało się Krzakowej załatwić gdzieś trumnę, trzeba było postarać się o jakiś środek transportu, aby przewieźć ją z ulicy Rozbrat na Bródno. Najpierw myślałyśmy o wózku ręcznym, miałyśmy go ciągnąć na zmianę, bo jedna osoba musiała pilnować, aby trumna nie zsunęła się na ziemię. Ktoś rozsądny odradził nam ten pomysł: z ulicy Rozbrat na Wincentego jest szmat drogi, a wówczas wszędzie było jeszcze pełno gruzu, tłok na jedynym pontonowym moście... pomogła nam jednostka wojskowa, która stacjonowała przy ul. Podchorążych. Dali nam furkę z koniem i do pomocy dwóch żołnierzy. W wyznaczonym miejscu między blokami przy ul. Rozbrat wykopali ciało pani ojca. Zwłoki przenosiła do trumny matka tego kolegi, który zdejmował ciało, Cecylia Januszewska-Krzakowa nie mogła... żołnierze pomogli nam włożyć trumnę potem do grobu na Bródnie. (Relacja Romany Krzyckiej, przyjaciółki Marii Krzak, siostry Zygmunta Stettnera).

Tekst i zdjęcie: Barbara Stettner-Stefańska

## LISTY DO MARI-TERESY

**Droga Pani Mario,**

Czytam z zainteresowaniem Pani porady. Myślę, że dla wielu Polaków-emigrantów poważnym problemem jest pozostawienie naszych Starszych Rodziców w kraju. Na początku tęsknimy, często Rodzice mają żal, że dzieci ich opuściły.

Dla mnie sytuacja staje się dramatyczna. Mama jest po zawale i ciężko chora na gościec, właściwie nie wyleczalny. Na razie Ojciec doskonale opiekuje się i mamą i 95-letnią Babcią. Niestety z przerażeniem myślę o chwili kiedy i Jemu zdrowie, nie najlepsze, nie pozwoli na opiekę nad Paniami. Nie ma co marzyć o sprowadzeniu do Francji 3 osób wymagających ciągłego leczenia. Jedyne rozwiązanie to mój wyjazd na parę lat do kraju. Ale co wtedy z naszym małżeństwem? Czy wytrzyma te parę lat rozdzielenia. Na razie staram się o tym nie myśleć.

Joanna

**Droga Pani Joanno,**

Poruszyła Pani problem bardzo ważny i niezwykle trudny do rozwiązania. Dobrze, że Pani myśli o Rodzicach już teraz, kierując się do siebie radzą. Powojenne losy głęboko doświadczyły nas Polaków - tak, że wiele osób szczególnie młodych, z bardzo różnych powodów wyjechało z kraju na jakiś czas lub na stałe. I bywa, że rodzice, którzy wychowali nawet kilkoro dzieci, pozostali w kraju sami. Dla starzejących się rodziców jest to bardzo bolesne: rzadkie kontakty z dziećmi, wnuki znają niekiedy tylko z fotografii, w przypadku kiedy emigracja dzieci sięga za ocean. Kiedy zbliża się starość a wraz z nią choroby, sytuacja staje się dramatyczna. Najpierw - jak to rodzice - wszystko po-

trafią zrozumieć i wybaczyć dzieciom, że do kraju nie wracają, cieszą się nawet, że i dzieciom i wnukom lepiej się wiedzie niż gdy byli w kraju, ale kiedy wraz ze starością pojawiają się niedoleżność i choroby, konieczność zdania się pod opiekę ludzi obcych, sąsiadów - to świadomość, że tam gdzieś w świecie są ich ukochane dzieci, wnuki, a oni sami, chorzy, wyplakiwać mogą tylko błędne oczy.

Cóż można poradzić Pani w tej sytuacji?

Dobrze, że Pani myśli już o tym teraz, kiedy jeszcze Rodzice są razem i wzajemnie się sobą opiekują. Na szczęście Paryż jest blisko Polski i dobrze by było, gdyby Pani jak najczęściej dawała wyraz troski i pamięci o Rodzicach i Babci, w miarę możliwości ich odwiedzała, szczególnie w okresie Świąt, które zachowały już chyba tylko u nas tak piękną tradycję, nie zapominać też o częstych listach i telefonach. To może nieco złagodzić brak Pani przy boku Rodziców. Podczas pobytu w Polsce szczerze rozmawiać z Rodzicami, wyrażając im swoją o nich troskę. Sama świadomość, że dla Pani jest to ważne, aby nie byli pozabawieni opieki i Pani starania spowodują, że wspólnie znajdziecie najlepsze rozwiązanie. Ważne, aby przy podejmowaniu decyzji ich głos był najważniejszy, bo to przecież o ich dobro chodzi, aby oni czuli się najbezpieczniej, szczególnie w momencie, kiedy zaczną odchodzić. Natomiast, kiedy już pozostanie jedno z nich warto pomyśleć, aby być razem.

Natomiast myślę, że nie można rozważać wyjazdu i pozostawienia męża samego. Nie wolno wystawiać małżeństwa na taką próbę. Znam niestety bardzo wiele przykładów rozłąki wynikającej z emigracyjnej konieczności i zawsze kończyło się to dla małżeństwa źle. A chyba nie muszę Pani przekonywać, że lepiej zapobiegać niż leczyć.

Maria Teresa LUI